

No to do roboty!



Wiktor Legowicz: – Czym nowy rząd powinien zacząć się w pierwszej kolejności? Nie powiemy pewnie nic nowego: dojście do strefy euro, prywatyzacja, drogi i przede wszystkim finanse publiczne.

Andrzej Kublik („Gazeta Wyborcza”): – Przede wszystkim musimy przystąpić do zaniechanych reform finansów publicznych, bo bez tego na długi czas nie zapewnimy Polsce wzrostu gospodarczego.

Legowicz: – A czekają nas duże wydatki w przyszłym roku.

Kublik: – Tu nie chodzi tylko o przyszły rok, ale o takie zreformowanie systemu, żeby umożliwić funkcjonowanie gospodarki na wiele, wiele lat. Drugim priorytetem powinno być sprawdzenie i przygotowanie planu wydawania pieniędzy z budżetu unijnego.

Legowicz: – To są wielkie pieniądze.

Kublik: – Tymczasem, jeżeli nie podejmie się szybko decyzji tworzących różne instytucje albo nie zatwierdzi tych programów, to z wykorzystaniem funduszy mogą być problemy.

Legowicz: – No i kończymy prywatyzację.

Kublik: – Prywatyzację będziemy kończyć jeszcze parę lat.

Legowicz: – Drogi to już banał.

Kublik: – Oczywiście. Poza tym wiś nad nami cały czas EURO 2012, czyli mistrzostwa piłkarskie. I tutaj również trzeba dopilnować przygotowania całej tej prawnej infrastruktury. A następnie dopilnować wydawania pieniędzy i dbania o inwestycje związane z tym wielkim wydarzeniem, także gospodarczym przecież.

Wino za mniejszą tuszę

Legowicz: – *Burmistrz pewnego włoskiego miasteczka płaci mieszkańcom za odchudzanie. Za zrzucenie 7 kg nawet 500 euro.*

Zbigniew Biskupski („Gazeta Prawna”): – Bardzo piękny pomysł. Jeden z wielu, bo w kilku hiszpańskich miastach wszyscy obywatele po czterdziestce otrzymują darmo szklankę wina. To są działania profilaktyczne, oczywiście z pieniędzy samorządowych, bo burmistrz nie płaci z własnej kieszeni. W przypadku Włoch chodzi o profilaktykę związaną z naszą tuszą, czyli chorobami krążenia. Myślę, że jest to warte naśladowania dla naszych samorządów, jak się trochę wzbogacą. Na razie Polska pod względem profilaktyki zdrowotnej odstaje zarówno od Włoch, jak i od Hiszpanii.

Trumna na każdą kieszeń

TYGODNIK
ANGORA

„Stoltur” to potentat w produkcji trumien w tej części Europy. W ofercie ma 300 wzorów, od skrzyń zbitych z neoheblowanych desek, po zrobione na wysoki połysk, wyściełane aksamitem, modele wyposażone w wysuwaną szufladę.

„Stoltur” jest spółką jawną, w której po 50% udziałów mają bracia Jan i Marian Millerowie. To 7 tysięcy metrów kwadratowych pod dachem i nowoczesny park maszynowy do obróbki drewna. To 110 wykwalifikowanych pracowników, wytwarzających 36 tysięcy trumien rocznie, co przekłada się na 15 milionów złotych obrotu.

Przed biurem przykuwają wzrok auta właścicieli: mercedes klasy S i audi A 8. W środku jest już dużo skromniej. Na ścianach korytarza niewielkiej firmy wiszą dziesiątki dyplomów, wyróżnień i zdjęć. „Gazeta Biznesu”, dyplom za złoty medal zdobyty podczas „Necroexpo” w Kielcach, dyplomy mistrzowskie przedków, zdjęcia z Wałęsą, Balcerowiczem.

Z produkcją trumien rodzina Millerów jest związana grubo ponad wiek. Już w latach osiemdziesiątych XIX wieku przy ulicy Przejazd 24, w centrum dynamicznie rozrastającej się wówczas Łodzi, Ignacy Miller prowadził duży zakład pogrzebowy wraz z firmą stolarską, która trudniła się wyrobem trumien. Jego syn Ignacy Jakub zapisał miłość do panny Heleny z Turku. Wyprowadził się więc z Łodzi i w 1898 roku, przy ulicy Kaliskiej, otworzył zakład pogrzebowy. Tak jak jego ojciec produkował trumny, głównie na potrzeby własnej firmy. Podczas okupacji Niemcy złożyli Ignacemu Jakubowi propozycję podpisania volkslisty. Gdy odmówił, jego dwóch synów zamordowano w obozie koncentracyjnym w Mauthausen-Gusen. Trzeci syn został wywieziony na roboty, a firmę zamknięto.

W 1957 roku zakład przejął Zbigniew Miller.

– W tamtych czasach zakład zatrudniał do 10 pracowników i kilku uczniów – wspomina Jan Miller. – Powodziło się nam dobrze, ale władza z niechęcią odnosiła się do tzw. prywatyzacji. Dwa razy chciano wykończyć warsztat za pomocą domiaru, restrykcyjnego, gigantycznego podatku.

W 1982 roku firmę przejęli Jan i Marian – synowie Zbigniewa. Obaj bracia

ukończyli Technikum Przemysłu Drzewnego w Jarocinie, a Jan dodatkowo Akademię Rolniczą w Poznaniu na kierunku mechanicznej technologii drewna.

W 1993 roku zakład przeniósł się do nowych budynków przy północnej obwodnicy.

Dziś przy produkcji trumien pracuje już piąte pokolenie Millerów. Jędrzej – syn Jana, absolwent poznańskiej Akademii Ekonomicznej, zajmuje się w przedsiębiorstwie marketingiem i reklamą.

Prawie jak mebel

Wszystko zaczyna się od zakupu drewna. Rocznie „Stoltur” przerabia ponad 7 tysięcy metrów sześciennych tarcycy. Drzewo powinno być wysuszone, więc zanim trafi do produkcji,

wszystkich norm ochrony środowiska. Odpady produkcyjne transportem pneumatycznym trafiają do silosu, w którym ciężkie składniki opadają na dno i są spalane w specjalnym piecu, dzięki czemu firma jest samowystarczalna pod względem energii cieplnej. Lekkie składniki, w obiegu zamkniętym, wraz z powietrzem przechodzą przez stację filtrów.

„Stoltur” podzielony jest na dwa podstawowe działy. W jednym produkuje się tzw. trumny włoskie, a w drugim niemieckie.

Włoskie mają proste spody, niskie wieka, a poszczególne części są łączone elementami plastikowymi. Maluje się je w taki sposób, żeby było widać naturalną strukturę drewna, co wymaga stosowania wysokiej jakości surowca. Trumny niemieckie są wysokie, strzeli-



Początkowe etapy produkcji trumien niczym nie różnią się od tego, co możemy zobaczyć w fabrykach mebli

zazwyczaj przechodzi przez suszarnię.

Potem produkcja wygląda podobnie jak w zakładach zajmujących się wyrobem mebli. Paradoksalnie produkcja trumien jest jednak bardziej skomplikowana, gdyż w przeciwieństwie do mebli tu desek właściwie nie przycina się pod kątem prostym.

W przestronnych halach pracują nowoczesne prasy, strugarki, piły. W niektórych pomieszczeniach komputer reguluje temperaturę i wilgotność powietrza.

Szefowie „Stolтуру” na każdym kroku podkreślają, że ich zakład przestrzega

ste i cieńsze od włoskich, a poszczególne elementy łączy się metalowymi zszywkami.

W ofercie spółki są trumny z sosny, jesionu, dębu, mahoni. Wnętrze skrzyńni wykładają specjalnymi materacami, wiórami, wełną drzewną, a czasem nawet ścinkami papieru, które uzyskuje się z biurowych niszczarek dokumentów. Dopiero tak przygotowana trumna wyściełana jest materiałem: aksamitem, aksamitem lub jedwabiem.

Najtańsza surowa skrzynia z neoheblowanego i niepolakierowanego drewna sosnowego trzeciej klasy kosztuje 55 euro. Takie proste trumny zamawiają



Zakład braci Millerów produkuje 36 tysięcy trumien w 300 modelach

Duńczycy wyznania mojżeszowego. Najdroższa maxima kosztuje 900 euro. Wyłożona aksamitem lub atlasem ma wieko otwierane na dwie części, a w środku uruchamianą na przycisk niewielką szufladkę, w której zazwyczaj umieszczona jest różaniec i książeczkę do nabożeństwa.

– Czasem klient zamawia coś według indywidualnego pomysłu. Wiele cygańskich rodzin grzebie swoich zmarłych w trumnach malowanych na ostre metaliczne kolory, do tego ozdobione licznymi złotymi wykończeniami – mówi Miller.

Wszystko na eksport

96% produkcji trafia na eksport. Najwięcej do Niemiec, Danii, Finlandii, Holandii i Wielkiej Brytanii.

– Polski rynek trumniarski jest najdziwniejszy na świecie – wyjaśnia pan Jan. – Tu duże firmy nie mają czego szukać. W Niemczech cały kraj opanowało dziesięciu producentów, w Danii sześciu, w Finlandii i Belgii dwóch w Wielkiej Brytanii czterech. W Polsce produkcją trumien zajmuje się... 2 tysiące zakładów! Niektóre to firmy krzaki, inne produkują w szopach i garażach,

jedynie na potrzeby własnych zakładów pogrzebowych. Często stosują nieekologiczne lakiery, które mogą zatruwać glebę. Zbijają na gwoździe skrzynie z mokrej tarcicy i sprzedają poniżej kosztów produkcji. Dochodzi do takich paradoksów, że niektóre zakłady oferują polakierowaną dębową trumnę za 230 zł, gdy sama tarcica potrzebna do jej wykonania kosztuje 500 zł. My na takie czary-mary nie możemy sobie pozwolić. Tak duża firma jak nasza na wszystko musi wystawiać faktury, pracownicy mogą być zatrudnieni jedynie legalnie, podatki odprowadzane zgodnie z prawem. Dlatego musimy eksportować. Ale eksport też przestaje być opłacalny. Nasze wyroby od kilku lat kosztują tyle samo, lecz wartość euro od momentu naszego wejścia do Unii zmalała o prawie 20%. Do tego Polska stała się światowym zagłębiem produkcji mebli, co spowodowało gwałtowny wzrost ceny tarcicy i nasz zysk z kilku procent zmalał niemal do zera.

W ostatnich tygodniach spółka dostała ofertę z Australii na dostawę dużej ilości sztuk modelu Maxima. Australijczycy od razu zaproponowali bardzo atrakcyjną cenę: 2 tysiące dolarów USA za sztu-

kę. Jednak na antypodach w zakładach pogrzebowych rodzina zmarłego będzie musiała za taką trumnę zapłacić pięć razy więcej. W branży pogrzebowej, tak jak w całej gospodarce, producent zarabia mniej niż sprzedawca.

Przed kilku laty „Stoltur” chciała kupić dużą spółkę z Holandii. Negocjacje zostały zerwane, gdyż Millerowie doszli do wniosku, że firma powinna pozostać w rodzinie przez następne pokolenia.

Właściciele nie chcą wyjawiać, na jaką kwotę wyceniono ich zakład. Jednak może to być suma przekraczająca 50 milionów złotych.

Spółka od lat wystawia swoje wyroby na najbardziej znanych światowych targach i wystawach: w Düsseldorfie, Paryżu i Modenie.

Ma ciekawą stronę internetową, wydaje katalogi i co jakiś czas reklamuje się w krajowych branżowych miesięcznikach.

– To zupełnie wystarczy – zapewnia szef. – Mogę pana zapewnić, że we Francji, Anglii czy Niemczech pogrobnicy i właściciele zakładów pogrzebowych dobrze znają nazwę „Stoltur”.

Mocna złotówka, droga tarcica, coraz wyższe płace pracowników, to wszystko spędza sen z powiek właścicieli. Jednak największe niebezpieczeństwo dopiero się zbliża. To idąca z Zachodu moda na anonimowe pochówki. Jak grzyby po deszczu za Odrą powstają „zielone łąki”, miejsca, gdzie rozsypuje się skremowane prochy zmarłych. Nie ma tam grobów, krzyży ani nawet drobnych tabliczek z nazwiskami tych, którzy odeszli.

– W samym Berlinie jest już 35 takich cmentarzy – mówi Jan Miller. – To wymysł bogatych, leniwych zachodnich społeczeństw, w których ludziom już się nic nie chce. Po rozsypaniu prochów nie muszą zajmować się grobem, kupować kwiatów, palić zniczy czy odwiedzać rodzinnego grobu. U nas nawet o psie zachowuje się większą pamięć.

Tekst i zdjęcia: KRZYSZTOF RÓŻYCKI

grzeb dobiegł końca, księżna wróciła do zamku. Wówczas biskup płocki Stanisław Pawłowski kazał otworzyć grób i wyjąć z niego wszystkie kosztowności. W XVII i XVIII wieku większość szlacheckich trumien była ozdobiona portretami, malowanymi zazwyczaj na cynowej blasze. Choć niboszczyk wyglądał na nich jak żywy, to pozował malarzowi już po swojej śmierci. Ze współczesnych Polaków najwspanialszą trumnę otrzymał zmarły w 2005 roku Jan Nowak-Jeziorański. Byłego szefa polskiej sekcji Radia Wolna Europa pochowano bowiem w trumnie wykonanej dla Stanisława Augusta Poniatowskiego (gdy w 1938 roku przewożono zwłoki królewskie z leningradzkiego kościoła św. Katarzyny do Polski).

Pędzą do nas inwestorzy

Legowicz: – Proszę sobie wyobrazić, że firmy zagraniczne zainwestowały w ubiegłym roku 15 miliardów euro! W tym roku prawdopodobnie będzie podobnie. Nie wykluczone, że przyciągniemy więcej inwestorów niż, na przykład, Brazylia.

Mirosław Cielemecki („Wprost”): – Realnie przyciągniemy trochę mniej, bo mniej więcej 3 miliardy euro przepłyną przez nasz kraj niejako tranzytem. Ale i tak zostanie 12 miliardów, czyli jeden miliard euro miesięcznie. To jest dwukrotnie więcej niż tempo narastania naszego deficytu budżetowego. Należy więc się z tego cieszyć, tym bardziej że większość tych pieniędzy lokowana jest w sektorach bardzo trendy. Przede wszystkim w usługach, czyli w tym sektorze, który w świecie rozwija się najbardziej.

Legowicz: – Ale też w produkcję telewizorów.

Cielemecki: – Mówimy również o sektorze produkcyjnym. Dodajmy więc jeszcze przemysł motoryzacyjny.

Interes na dzieciach

Legowicz: – Perspektywa dla rynku spożywczego to batony, lody i żywność dla dzieci. Dadzą zarobić miliony złotych w najbliższych latach.

Kublik: – To, że na dzieciach można zarobić krocie, wiadomo już od bardzo dawna. Teraz kobiety polskie coraz więcej pracują i mają mniej czasu i ochoty na gotowanie dla dzieci, toteż ten dział przemysłu spożywczego będzie się szalenie szybko rozwijał. Tymczasem, co ciekawe, nie ma takiego wzrostu jak oczekiwano w przypadku sprzedaży dań gotowych dla dorosłych. Pewnie, jak jesteśmy starsi, to wolimy sobie coś jednak ugotować.

J.B.

(Na podstawie codziennych audycji Wiktora Legowicza w „Trójce” od 22 do 26 października 2007 r.)

Krótką historią trumny

Ludzie zawsze przywiązywali wielkie znaczenie do spraw pochówku. Już starożytni Egipcjanie uczynili z grzebania zmarłych jedną z najważniejszych gałęzi gospodarki. Zabalsamowane ciała faraonów i dygnitarzy umieszczano, jedna w drugą, w kilku trumnach, często ze złoczonego drewna, a nawet szczerzego złota, które następnie składano do sarkofagu wykonanego z alabastru, kwarcytu lub granitu.

Rzymscy patrycjusze, chociaż rzadzili połowę znanego sobie świata, nie spoczywali w tak drogich trumnach i nic dziwnego, gdyż podczas pogrzebu ich ciała palono na stosie, a wypalone kości myto i chowano w urnach, które umieszczano wgrobowcach,

przeważnie usytuowanych wzdłuż dróg.

W dawnej Polsce pogrzeb urastał do wydarzenia towarzyskiego, a nawet politycznego i mógł kosztować majątek (w ostatniej drodze hetmana Józefa Potockiego uczestniczyło 10 biskupów, 60 kanoników oraz 1705 księży katolickich, greckich i unickich). Mimo ogromnego przepychu, do trumien nie wkładano drogich przedmiotów. Nawet Kazimierz Wielki został pochowany, mając na palcu jeden złoty pierścień. Gdy w 1426 roku umarł Ziemo Wit, księżę mazowiecki, jego żona Aleksandra usłała trumnę złotogłowie, a ciało męża przystroiła złotymi ostrogami i drogim łańcuchem. Po-



Rys. Paweł Wakuła